

Moje, moje, moje

23 września 2022

Wśród idei stojących u podstaw III RP znajdowało się marzenie o przedsiębiorczych, samowystarczalnych, biorących sprawy we własne ręce jednostkach. Przeciwieństwach homo sovieticus. Z tą ideą od samego początku było kilka problemów. Przede wszystkim opierała się ona na wątpliwej przesłance – że Polska miała jakiś problem z homo sovieticusami. Za tym pojęciem nie stały żadne poważne badania socjologiczne. To była tylko taka teoria, pasująca do klimatu czasów. Coś jak „koniec historii”.

Ludzie, którzy dorastali w PRL-u byli pracowici, kreatywni, przedsiębiorczy – tylko często na inne sposoby niż te, które najczęściej wiążemy z tymi określeniami. Doskonały przykład zawarła Elizabeth Dunn w książce „Prywatyzując Polskę”. Opisuje ona pracowników zajmujących się produkcją pokarmu dla niemowląt. Jak zauważa, odznaczała się oni wysoką elastycznością i zdolnością do improwizacji: „Brygady działu IV były w stanie produkować ponad 41 rodzajów odżywek dla niemowląt i cztery rodzaje frugo, nie licząc narodowych odmian tego samego produktu” – pisze Dunn – „Kiedy brakowała jakiegoś składnika do określonego produktu, po prostu przestawiano produkcję na taki, jaki można było wyprodukować z dostępnych surowców”.

Ale tego typu elastyczność była niewidzialna, bo nie pasowała do stereotypu. Co innego menadżer w garniturze oraz z – rzadko spotykaną w tamtych czasach – komórką. To on stanowił symbol kreatywności, postępu, nowoczesności – nowego społeczeństwa.

Tego typu ignorancja to jedno – inny, być może dziś poważniejszy, problem polega na tym, że to uczenie samozaradności zbyt często polegało w praktyce na promowaniu egoizmu i skrajnej nieufności do tego, co wspólnotowe. W kraju, który z racji doświadczeń historycznych i tak odznaczał się małym zaufaniem społecznym, to bardzo niebezpieczne

zjawisko. I tak oto do dzisiaj każda sugestia, by zainwestować w dobra wspólne, w tym tak podstawowe jak bezpłatne obiady dla dzieci, co proponuje ostatnio Lewica, jest krytykowana za pomocą znanego repertuaru haseł: nie ma nic za darmo, niech każdy zadba o siebie, dlaczego z moich, moich, moich pieniędzy mam finansować cudzie dzieci, podatki to kradzież.

Ludzie, którzy wygłaszają takie hasła, sądzą często, że odwołują się do głębokich praw kapitalizmu, a nawet do natury ludzkiej. Ale to nieprawda. Wszystkie rozwinięte państwa kapitalistyczne co najmniej od początków XX wieku inwestują szeroko w dobra wspólne – ze względów etycznych, jak i pragmatycznych. Wiemy na przykład, że pomoc socjalna kierowana do dzieci poprawia ich zdrowie (oszczędności dla systemu ochrony zdrowia), poprawia wyniki w szkole (lepiej wyedukowane społeczeństwo), a po jej ukończeniu owocuje lepszymi stanowiskami (gospodarka, która nie opiera się na tanich miejscach pracy).

Nie ma powodu, by romantyzować PRL, bo to był pod wieloma względami niewydolny system, ale trudno czasem powstrzymać się od refleksji, że gdyby III RP nie otrzymała w spadku publicznego systemu ochrony zdrowia, publicznej edukacji czy publicznej sieci bibliotek, to dziś nie dałoby się tych rzeczy wprowadzić. Bo każda taka propozycja byłaby torpedowana argumentem: za moje, moje, moje mam innym finansować leczenie, wykształcenie i książki?

Może to przesada, ale obrazuje, jak absurdalna jest postawa „moje, moje, moje”. U podstaw każdej sprawnej demokracji znajduje się raczej „nasze, nasze, nasze”. Polska jest dobrym przykładem, co się dzieje z demokracją, gdy to „nasze” zostaje zaniedbane.

Autorstwo: Tomasz Markiewka

Źródło: Trybuna.info